ONDYNA

Druskienickich źródeł.

Rok 1844.

ZESZYT SZÓSTY.



GRODNO.

ONDYNA

ONDYNA

DRUSKIENICKICH ŹRÓDEŁ

PISMO ZBIOROWE DLA ZDROWYCH I CHORYCH

w czasie czteromiesięcznego u wód mineralnych pobytu

Wydawca

K. WOLFGANG.

Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga, o światło.

Zeszyt szósty.

GRODNO.

w Drukarni Rządowej.

Nakład wydawcy.

1844.

Pozwolono drukować pod warunkiem, aby po wydrukowaniu, złożone były w Komitecie Cenzury, exemplarze prawem przepisane.

Wilno, d. 3. Listopada 1844 roku.

Sprawujący obowiązek Cenzora, *J. Fok.*

POSTRZEŻENIA

PRAKTYCZNO - LEKARSKIE O SPOSOBIE DZIAŁANIA WODY MINERALNEJ DRUSKIENICKIEJ NA ROZMAITE CIERPIENIA.

REUMATYZM.

Tysiączne przykłady dostatecznie nas przekonywają, jak skutecznem być się okazuje użycie wody mineralnej Druskienickiej w cierpieniach reumatycznych; częstokroć stanowią nawet one jedyny środek do uleczenia chronicznych, zadawnionych i uporczywych tego rodzaju chorob, w których sposob zwyczajnego leczenia farmaceutycznemi środkami, żadnej choremu nie przynosi ulgi. Ponieważ jednak woda mineralna Druskienicka w nader licznych i wielce różniących się między sobą cierpieniach zbawienne przynosząc skutki, rozmaicie też zastosowywaną być powinna, zastanowmy się tutaj pokrótce nad główniejszemi warunkami w leczeniu chorob reumatycznych zachować się mającemi, tudzież nad niektóremi samejże choroby postaciami.

Lubo reumatyczne cierpienia zdają się po większej części powierzchowne tylko warsty ciała (muskuły) napastować, stanowią wszakże chorobę wewnętrzną w całym organizmie siedlisko mającą, i dlatego to zwykle początek tej choroby z gorączką i symptomatami gastrycznemi połączony bywa. Taki stan pospolicie nazywa się reumatyzmem ostrym, który z czasem dopiero przechodzi w reumatyzm chroniczny, już bezgorączkowy i perjodycznie mniej lub więcej często powracający. Niekiedy nawet uleczony reumatyzm ostry pozostawia po sobie przechodzące bole i łamania w kościach, jak się zwykle chorzy wyrażają, co także stanowi rodzaj reumatyzmu chronicznego, i lubo niegwałtowny, bardzo jednak bywa dolegliwy i nieznośny.

Reumatyzm ostry, należąc do chorob zapalnych, nie może i niepowinien się leczyć wodą mineralną. Dlatego też źle czynią chorzy, jeśli bez względu na stan gorączkowy i pomimo rady lekarskiej, mniemając że wody każdy reumatyzm uleczyć koniecznie powinny, zaczynają używać kąpieli, które w takich razach uszkodzić tylko mogą. Skoro więc gorączka towarzyszy bolom reumatycznym, należy wstrzymać się od używania wody, udając się raczej do środkow przeciwzapalnych.

Zadawnione, tojest chroniczne reumatyzmy, właśnie te, które się w zwyczajnym sposobie leczenia najuporczywszemi być

okazują, działaniu wody mineralnej dziwnie łatwo ustępują i w rzadkich tylko zdarzeniach środek ten mniej skutecznym bywa. Ztemwszystkiem w leczeniu ich w ogólności zachować się powinny pewne prawidła na doświadczeniu oparte, stosując je wszakże do indywidualnych potrzeb chorego.

1. Użycie wody wewnętrzne zawsze nader jest pożytecznem, albowiem nietylko czynność żołądka podbudza, przez co się częstokroć ułatwia dążność natury w wyprowadzeniu pierwiastkow chorobnych, ale nadto, wystawując przestrzeń wewnętrznej powierzchni ciała na wpływ mineralnej wody, znacznie jej ogólnemu dopomaga działaniu.

2. Temperatura kąpieli powinna być podwyższoną o ile tylko dozwolą okoliczności, tojest stosownie do indywidualnej możności znoszenia ciepła, do cierpień towarzyszących i. t. p. — Powszechnie najstosowniejszą bywa temperatura z początku na + 30 R., podnasząjac ją stopniowie do + 35 a nawet i wyżej; potem wszakże, tojest ku końcowi leczenia, znowu zniżać ją należy.

3. Jeśli chorzy, czy to z powodu skłonności do przypływow krwi, czy z powodu zbytecznego osłabienia nerwow, nie znoszą tak ciepłej temperatury wanien, wówczas letnie raczej używać powinni, a tylko części bardziej chorobą zajęte, wodą gorącą, chociażby

chwilowie tylko zmaczać lub oblewać. W takim razie najlepiej w czasie kąpieli kilkakrotnie flanellą w gorącej wodzie maczaną, nacierać miejsca bolące, np. ręce lub nogi, co zastąpi miejscowe gorące kąpiele. Sposob ten zasługuje szczególniej na uwagę lekarzy w odrętwieniu członkow (torpor y paresis), które częstokroć w skutek zadawnionego reumatyzmu następuje. W bolu reumatycznym krzyża (Lumbago), z dobrym skutkiem używa się niekiedy oblewanie miejsca bolącego z pewnej wysokości wodą bardzo ciepłą, w czasie samych kąpieli.

4. Zaraz po wyjściu z wanny dobry częstokroć okazują skutek rozmaite aromatyczne, balsamiczne lub narkotyczne zewnętrzne nacierania; w czasie zaś kąpieli zaleca się zwykle tarcie lekkie części bolących flanellą, gąbką albo nagą ręką.

5. Ilość kąpieli do uleczenia reumatyzmu, nie daje się oznaczyć ogólnie, zależy bowiem już to od stopnia choroby, od jej zadawnienia, od natury mniej lub więcej uporczywej, od cierpień towarzyszących, albo nakoniec od wielu innych ubocznych lub indywidualnych okoliczności, które oznaczyć nie podobna. Powszechnie atoli powiedzieć można, iż mniej nad 30 kąpieli nigdy do uleczenia reumatyzmu wystarczyć nie zdołają, rzadko zaś więcej 60-ciu potrzeba. Kąpiele te wszakże

po jednej na dzień używane być powinny. i wtedy tylko zwykle pożądany skutek przynoszą.

6. Nakoniec życzyćby wypadało, ażeby kąpiele parowe z wody mineralnej w innych zakładach używane, i u nas w leczeniu uporczywych i zadawnionych reumatyzmow, jako środek pomocniczy zastosowane zostały.

Niepodobna tu jest wymienić pojedyńczo rozliczne postacie i kształty, w jakich reumatyzm zwykł się okazywać; częstokroć bowiem zdarza się iż wewnętrzne organa głęboko tą chorobą dotknięte, najbieglejszemu nawet lekarzowi, nader wiele przedstawują trudności w rozpoznaniu istotnej natury choroby. Do takich wypadkow odnoszą się najczęściej pozorne cierpienia piersiowe z kaszlem i bolem piersi tudzież innemi symptomatami chronicznego zapalenia płuc, pochodzące jednak z reumatyzmu wewnetrzna warstę muskułow piersiowych zajmującego, a w takim razie bezwątpienia woda mineralna wskazaną będzie, jakeśmy to już w trzecim zeszycie Ondyny wspomnieli.

Cierpienia reumatyczne leczone powszechnie w Druskienikach z najlepszym skutkiem, są rozmaite zastarzałe i przechodzące bole w członkach, mniej lub więcej powierzchowne, tudzież w krzyżu (Lumbago), w biodrach (Ischias rheumatica), nakoniec odrętwienie

i prawie bezwładność członkow, następująca częstokroć po zadawnionych bardzo reumatyzmach. Ale jednym z najuporczywszych i najgwałtowniejsze sprawujących cierpienia jest reumatyzm nerwy muskułow głowy napastujący, częstokroć migreną nazywany. Dręczący ten i perjodycznie powracający ból głowy, lubo się niekiedy zewnętrznemi lub wewnętrznemi środkami lekarskiemi nieco łagodzić daje, nie ustępuje wszakże zupełnie, a napady jego częściej lub rzadziej wracając, równie gwałtowne bywają. Wtedy to jedyną jeszcze ucieczkę chorych stanowi użycie wody mineralnej Druskienickiej, po ktorem częstokroć zupełne tych cierpień następuje uleczenie. Podobnego wypadku historją pokrótce tu przytaczam.

Julja K. obywatelka Dziśnieńskiego powiatu, przeszło trzydzieście lat wieku licząca, temperamentu krwistego, doświadczała już od lat kilku gwałtownych bolow głowy, powiększających się zwłaszcza wieczorem i w nocy, a sięgających niekiedy szyi, ramion i piersi, niekiedy zaś przechodzących tylko w ból twarzy i zębow. Cierpienia te stawały się coraz częstsze tak, że w ostatnich miesiącach codziennie już prawie napastować zaczęły; a niewidząc innego ratunku, 20 maja 1842 roku przybyła do Druskienik. Ażeby uregulować i doprowadzić żołądek do

należytej czynności, przed rozpoczęciem kąpieli zaleciłem przez dni trzy używać po jednej szklance wody Druskienickiej po połowie z wodą gorzką Sejdlicką, a po dwie szklanki czystej wody solnej ze źródła nadniemeńskiego; poczem dopiero przystąpiła chora do użycia wanien po jednej codziennie ogrzanej na + 30 R. i według zalecenia zostawać w nich miała nie dłużej z początku nad minut 15 lub 20, zanurzając się w wodzie po szyję i ciągle głowę oblewając tąż samą wodą z wanny, a tylko jeśliby nastąpiło mocne bicie krwi do głowy, zmaczanie jej wodą na + 26 R. dozwoliłem. Pomimo wszelką zalecaną ostróżność przy użyciu kąpieli, chora wyznała mi później, że chcąc prędzej dobrych doświadczyć skutkow, pozostawała niekiedy przez minut 50 i dłużej w kąpieli na stopni przeszło 31 ogrzanej, a często nawet niedosyć ściśle zachowywała przepisaną dijetę; na szczęście jednak bez żadnej widocznej szkody. W początkach, tojest po użyciu 6-ciu lub 7-miu wanien, stan zdrowia zdawał się nieco polepszać, ale wkrótce ból głowy zaczął znowu częściej powracać, tak dalece, że po skończeniu 60-ciu wanien i ciągłem wewnętrznem używaniu wody, bez żadnej prawie ulgi w miesiącu lipcu chora zakład nasz opuściła, uskarżając się na bezskuteczność użytych kąpieli. Wiedząc jak często, mimo nie-

sprawiedliwe narzekania podobne ze strony chorych, w kilka tygodni po użyciu wód naszych, nadspodziewanie już polepszenie następować zwykło, upewniałem, że skutki wody częstokroć nierychło się objawiają, i dlatego zalecałem jeszcze zachowanie przez kilka tygodni przyzwoitej dijety. Już w listopadzie dowiedziałem się od krewnych pacjentki, że uwielbia dobroczynne skutki wody mineralnej, gdyż we trzy tygodnie po wyjeździe z Druskienik, ból głowy zupełnie ustąpił. W następnym 1843 roku, chora przybyła powtórnie dla wzmocnienia i utrwalenia zdrowia, które przez rok cały w pożądanym było stanie, a ból głowy, już nawet przy użyciu 30 jeszcze kąpieli, ani razu nie wrócił.

Ksawery Wolfgang.

DZIADEK

BOŻE W DOBROCI.

Nowina Historyczna.

(Dokończenie)

Przybywszy na miejsce, dwor cały w największej trwodze i zamieszaniu znalazłem. Kiedym się zbliżył do zasmuconego i niespokojnego Pana S., wysłuchał jaki był powod mego przyjazdu i przeczytał list mój rekomendacyjny, poczem zawołał: — Zrobię wszystko, co pragnie zacny mój kuzyn. Ale kochany panie Bieńkiewicz, zostajesz mię w chwili wielkiego nieszczęścia. Żona moja, żona... o Dobrodzieju, wszak to żona moja uciekła z jakimś Praporszczykiem, zabrawszy szkatułę z całym zapasem moim i klejnotami! Dopomoż mi, a jeśliby ci się udało przynajmniej kradzież odzyskać, pięćset dukatow ci wnet zaliczę. — Gdzież oni? zapytałem. — Pojechali dzisiejszej nocy, na trakt do Bałty wiodący; niedaleko być muszą, bo tu gdzieś blizko sołdaci się kręcili. — Daj mi Pan tylko

dobrego konia i kozaka śmiałego za przewodnika. — Natychmiast wyprowadzono wybornego wierzchowca, siadłem i z kozakiem pędem strzały puściliśmy się na gościniec. Po dwógodzinnym biegu stanąłem w karczmie, dla dania odpoczynku koniom. Tu się dowiedziałem, że Praporszczyk z naszą Imością popasywał; mają przy sobie pięciu sołdatow i trzy parokonne telegi. Nietrudno było wyrachować dokąd pociągnęli na noc. O cztery mile ukraińskie znalazłem karczmę, lecz że była już godzina dziewiąta w noc, dałem nieco czasu na wytchnienie moim koniom, a tymczasem zdaleka robiłem postrzeżenia. Kiedyśmy karmili konie obrokiem w blizkiej krzewinie, kozak obejrzał stodołę karczemną przez szpary Pokazało się, że sołdaci w stodole, a Praporszczyk w samej izbie karczemnej zabierali się już do spoczynku; z ludzi ustronnych nie było nikogo. Przez ostróżność w tamtej karczmie wziąłem był dwie siekiery, do wyłamywania wrot w potrzebie. Na szczęście noc się zrobiła ciemną, wiatr z deszczem powstał; nieczekając przeto dłużej, około północy przypuściłem szturm do karczmy, niezważając, że ogień palący się na kominie, jeszcze nie wygasł. Zacząłem od łamania toporami wrot, krzycząc: — Hej wiara! do mnie! bijcie! sieczcie! żadnego nie żywić!.. Sołdaci, posłyszawszy ze snu te krzyki, powtarzane stokroinie,

zawołali: — Polacy! hajdamaki! uciekajmy, ratujmy się! — I co tchu, posiadawszy na konie, umknęli przez drugie wrota. — Nie gonić, wołałem, ale pilnować, gdy który powróci, w łeb mu kulą palnąć! — Otaczajcie karczmę... nikogo żywcem nie wypuszczać .. stójcie od okien... hej Pawle, Ignacy, Pietrze, Siemionie, Protazy, za mną! do środka! — Kozakowi zaś szepnąłem: — Biegaj po konie czem prędzej. — Widziałem już przez okno, że w karczmie prócz Praporszczyka, żadna żywa dusza nie jest na nogach. Wpadam do izby z pałaszem na temlaku, z pistoletem w ręku jednym, a toporem w drugim. Mój adwersarz natychmiast strzelił do mnie drżącą ręką i chybił; a ja go pistoletem w twarz rurą, niestrzelając: posłonił się na stoł, porwał się do noża tureckiego, który miał w lewej ręce; lecz ja go nieczekając, tak ciąłem po uchu pałaszem, aż się pokulił pod ławę. — Tymczasem Imość skryła się w kąt; odrzucam poduszkę i biorę szkatułę. Prawda, że było co dźwigać. W izbie panowała cichość, tylko od czasu do czasu jęki żydow i żydziąt za piecem i pod piecem słyszeć się dawały. Kozak mój krzyczał już w stodole. Wyniosłem złote runo, na koń, i w drogę. Tak więc szczęśliwie przywróciłem panu mojemu stratę. Dziękował mi, uiścił się z obietnicy; dziękował jeszcze, żem nie odbierał żony. Ale potrzeba nam było

myslеć o naszem bezpieczeństwie, albowiem sołdaci mogliby się opamiętać i napaść na nas niespodzianie.

Uradziliśmy przeto udać się do Kamieńca Podolskiego. Tam przepędziłem pieć miesięcy, a niemogąc nareszcie oprzeć się żądzy powrócenia do Marysi, udałem się w drogę, pod przebraniem ubogiego szlachcica, szukającego służby dworskiej. Przybyłem do Żytomierza, zkąd, wypocząwszy dni kilka, wyjechałem; lecz zaledwiem przebył ćwierć mili, aż słyszę głos za sobą: — Eto on, eto on, bieritie jeho! — Oglądam się, aż ten sam Praporszczyk sadzi na koniu za mną, z dobytym pałaszem, a za nim trochę opodal kilku kozakow dońskich. — Broń się! krzyknełem. — On o dziesięć krokow stanął; porwałem za pistolet, i w same czoło, jak mi się zdało, trafiony, padł na wznak z konia. Kozacy zawrócili w stronę i uciekli, a ja pobiegłem co tchu naprzod. Zmieniłem kierunek drogi i szczęśliwie stanąłem przed progiem domu pana Antoniego Łukaszewicza. Nie zrobiło przybycie moje wielkiego wrażenia na mieszkańcach błogiej okolicy naszej: w żupaniku falendyszowym, w kurtce zielonej, podszytej białemi lisami, w opończy ukraińskiej, przy boku szarpetynka z połamanemi pochwami, miałem przy siodle matelzaczek z koziej skórki, jak bułka chleba maleńki; nawet i koń był wcale niepoczesny. Jednakże

Marysia w niczem się nie odmieniła, owszem latka jej dodały więcej wdzięków. Gdybym trzy dni i trzy nocy pisał, nie skonczyłbym opisu jej przymileń, radości i oświadczeń, skoro się dowiedziała, że ona jest jedynym przedmiotem, dla którego przybyłem w te strony. Krótko mówiąc, pobraliśmy się szczęśliwie. Zdarzył mi się folwarczek do nabycia pierwiej zastawą, potem dziedzictwem, w województwie Brzeskiem. Gospodarka szła szczęśliwie, prowadziłem handel niewielki wołami do Warszawy.

Wywiązała się konfederacja Barska i niespokojność w kraju. Kozacy, konfederaci, antykonfederaci, czyli stronnicy królewscy, niszczyli kraj nasz na przemiany. Pełno było złoczyńcow, obywatele w wielu prowincjach niepewni byli ani życia ani mienia swojego. Mnie zrobiono w powiecie urzędnikiem do pobierania z żydow poboru skarbowego; musiałem nękać tych oszustow z powołania i zepsucia moralnego, gdyż się taili z możnością złożenia bardzo drobnej opłaty. Kiedy wyszukiwałem razu jednego kryjówek tych nikczemnikow po pustyniach Polesia, oni naprowadzili na mój dom bandę rabusiow. Cóż ujrzałem za powrótem? Popioły i rozwaliny kominow; okrutni nie zostawili nic w całości. Żonę moję przygarnął jeden wieśniak do siebie, była chorą, z przestrachu wpadła

w śmiertelną gorączkę i w kilka dni żyć przestała. W tym ucisku niedoli nie wiedziałem co począć: w krotce napadnięty zostałem w nocy; szczęściem że nie trafiono do miejsca gdzie spałem; ostąpiono mieszkanie wieśniaka, gdy ja tej nocy trafem nocowałem u innego przez dwie chaty gospodarza. Rozruch zrobiony we wsi obudził mię, skryłem się w ogrodzie konopiami zasianym, i dowiedziałem się z krzykow i poszukiwań o co chodziło zbojeckiej kupie. Zabrali tylko ruchomość i konie moje.

Już więc przekonałem się że na mnie nasiedli się kozacy i niema bezpieczeństwa w tych stronach. Udałem się do Litwy; w Słonimie dowódzca rossyjskiej komendy, kazał mię wtrącić do więzienia z podejrzeń że od konfederatow byłem wysłany. Wkrótce nas trzydzieście osob po większej części młodzieży ze stanu rycerskiego, posłano do Kijowa. Kozacy eskortujący mieli wielką z nami mitręgę; było ich dziesięciu, lecz gdy nas przeprowadzali za Prypeć, okazało się tylko pięciu, bo reszta pozostała gdzieś z tyłu. Przy pierwszej więc zręczności uwolnienia się od szczupłej straży podczas noclegu, niektórzy rozbiegli się w lasy, a nas ośmnastu, zabrawszy konie, broń i rzeczy kozackie, pociągnęło na Wołyń. Wszędzie uważani za komendę konfederatow, pod mojem dowództwem, mieliśmy sposobność

przebrać się ku Dniestrowi, gdzie wojsko konfederackie obozowało. Co gdy szczęśliwie przyszło do skutku, otrzymałem wkrótce rotmistrzostwo przy konfederacji Poprzysiągłem zemstę kozakom i już niemało liczyłem ofiar zawziętości mojej. Niebawnie znaczny oddział nasz poszedł pod Warszawę. Smiałość moja ożywiała ducha i męztwo żołnierzy; dokazywaliśmy cuda waleczności w wojnie podjazdowej; dowódzca nasz, Piaskowski, na biedę swoją tchórzowata sztuka, dał się skłuć kozakom. Wówczas ja objąłem dowództwo i rozsiewałem trwogę aż pod samą Pragę; oddział mój powiększył się znacznie, gdym przeszedł za lewy brzeg Wisły, gdzie Częstochowskiego konfederatów oddziału snuły się jeszcze ostatki. Znowu powróciłem nad Bug i znosiłem oddziały nieprzyjacielskie przez Brześć ku Warszawie ciągnące. Nie mogę tu ominąć opisu następnego zdarzenia.

Razu jednego doszła mię wiadomość że dwa szwadrony gwardji konnej litewskiej, ciągną z Kobrynia ku Warszawie w zupełnem bezpieczeństwie i nieporządku, jak za dobrych czasow Natychmiast we sto koni lepszego ludu mojego zabiegłem im drogę. Uderzyłem na nich z tyłu i z przodu. Zrazu stanęli w szyku bojowym dość prędko i porządnie, lecz na pierwsze wezwanie moje, z koni zeskoczyli i broń złożyli. Lud nader

piekny i doborny, dobrze odziany, wyborne konie, karabiny, pistolety, długie rapiry z głowniami pozłocistemi. A my jak komu Pan Bóg dał, jedni po polsku, drudzy po czerkiesku albo w łachmanach od kozakow zdobytych; byli też i tacy, co żydowskie żupany nosili. Kazałem rozbroić tchórzow i obedrzeć z mundurow. Stu piędziesięciu trzech wyjąwszy, którzy przyjeli służbę u nas dobrowolnie, wszystkich przepędziliśmy płazami. — Szukać pana Oberszt-Lejtnanta! — Lecz ani słychu o nim. Aż dopiero, gdy konfederat jeden zapędził się za kozą żydowską, i to biedne zwierzę ratując życie, uciekło pod pieczurę, znaleziono tam nieboraka w galonowanym mundurze. — Powiesić! nie żywić tchórza! — Najbardziej zaś sami podkomendni jego nalegali na to. Dla uciszenia ludzi moich, kazałem dać pięćdziesiąt kijow Oberszt-Lejtnantowi i przepędzić.

Niebawnie zmieniła się postać rzeczy, gdy Austryja zawiodła nadzieje naszej jeneralności, musieliśmy przeto wrócić na Podole. Nakoniec rozchwiało się wszystko, każdy myślał o sobie. Wracałem i ja do swoich w Oszmiańskie strony, gdyż dowiedziałem się że mój folwarczek zajechał pewien sąsiad za pięć czy sześć tysięcy złotych, dekretem zasądzonych, lubo mu tylko trzysta winien byłem. Udałem się do

Czartoryska na Wołyń, i tam się zatrzymałem, czekając nim przejdzie rezerwa rossyjskiej armji, z Litwy na Wołoszczyznę przeciw Turkom ciągnąca. Jednego dnia, wychodząc z kościoła Ks. Dominikanow po mszy ś. (było to w niedzielę), napotkałem człowieka w rysiej kierei z kołpakiem sobolowym na głowie; przypatrywał mi się mocno, a potem stanąwszy, śledził wzrokiem gdzie się obrócę. Zdało mi się że to jeden z kollegow konfederatow, gdyż przypomniałem sobie, żem go był widział gdzieś dawniej. Wieczorem, tenże sam jegomość wchodzi do mojej gospody i za nim kilkunastu sołdatow w czerwonych mundurach. — A ty łotrze Bieńkiewiczu, rozbojniku, konfederacie, wpadłeś nakoniec w moje ręce... Bierzcie go! — Porwany, ujęty za szyję ogromną obrożą żelazną, zostałem przykuty do łańcucha przy armacie. Przyszedł nazajutrz urągać się znowu ze mnie, i wówczas dopiero poznałem w nim Praporszczyka, którego ciąłem był pałaszem w karczmie na gościńcu do Bałty wiodącym, a pod Żytomierzem kulą z pistoletu w łeb ugodziłem. Dowiedziałem się że jest obecnie Sekund Majorem w artyllerji. Wkrótce wyszliśmy na Turka; na moje szczęście pan Sekund-Major na trzecim etapie uderzył w twarz Pułkownika dragonow, a ten go rapirem na wylot przeszył. Zostawiwszy więc bez

nadziei życia mego łaskawce, poszliśmy w dalsza drogę. Tymczasem objał dowództwo nad tą komendą i działami kapitan Chruszczow, człowiek pełen ludzkości i oświecenia, ten mię natychmiast uwolnił z łańcucha, wiedział albowiem już o moich przygodach z nieboszczykiem. Wziął mię na swój powoz, opatrzył moje biedne potrzeby. Iż zaś byłem zapisany do roli kanonijerow, nie można się było oddalić i musiałem przy komendzie pozostać. Mój kapitan protegował mię, dał miejsce przy bagażach i w kancellarji; tak przeto z osłodzonym już nieco losem przybyłem do głównej armji.

Tam, stosownie do mego życzenia, zostałem przeniesiony do oddziału ochotnikow czyli partyzantow, złożonego z ludu rozmaitej broni; mieliśmy też dowódzcow, najwięcej z kozackich oficerow. Oddział w którym przypadło mi służyć, z rozmaitem szczęściem nieraz potykał się z Turkami, wkońcu rozbity został stanowczo. Ledwo uratowałem się od noża tureckiego, alem wyprowadził ludzi naszych niemało przez waleczność moję i przytomność umysłu. Wodz naczelny nagradzając moję posługę, opatrzył mię w ekwipaż, konie, i dał dowództwo nad oddziałem nowych partyzantow. Był to zbior drużyny rozmaitej. Arnauty, kozacy, dragony, huzary, i Bóg wie jaka zgraja. Miałem dwiestu

szesnastu ludzi, na niezłych koniach. Działania moje podjazdowe, wielce się podobały dowodzcy. Wzmacniał przeto mój oddział podsyłaniem częstem ochotnikow i awanturniczych przybyszow.

Raz kiedyśmy się nocą uganiali za tureckim taborem, podskoczył do mnie na koniu jakiś partyzant i krzyknął: — Łotrze, Bieńkiewiczu! giń zbrodniarzu! — O pięć krokow strzelił do mnie ze dwóch pistoletow, lecz kula jedna poszła mimo, druga mi rękę drasnęła po wierzchu. Rzuciłem się za tym napastnikiem, ale w ciemności nocnej dognać go nie mogłem. Niedziwno mi było mieć pod komendą takich zbrodniarzy, ale pojąć nie mogłem komubym z moich dał powod do takiego zemną postępku. Nikogo nie skrzywdziłem niesłusznie, i często nawet występnym pobłażałem, z powodu położenia naszego. Że to nie był najezdnik turecki, przekonaliśmy się z pogoni za nim, gdyż zwinął w stronę obozu głównej armji. Niedługo potem, w jednej potyczce straciłem konia w zaciętej z Turkami walce. Pieszo, połączyłem się z pieszymi, i uporządkowawszy się wspieraliśmy swoich, aż do późnego wieczora. Jużeśmy się zbyli z karku natrętniejszych, już nieprzyjaciel zdaleka tylko nas obserwował, kiedy rozległ się głos w moim oddziale: — Zdrada! Zasadzka! Uciekaj kto może! Popłoch naszych

ośmielił Turkow, jazda pierzchnęła, myśmy się rozsypali szukając ocalenia. W towarzystwie ośmiu naszych, z których żadnego nie znałem, za radą jednego z nich, udaliśmy się w pewne miejsce skałami najeżone, które znał dobrze, i gdzie w bezpiecznem schronieniu mogliśmy dnia przeczekać. Kiedyśmy się czołgali z uciosu na ucios, tak zostałem potrącony że wpadłem w rozpadlinę skał, za mną zaś toczący się kamień pogruchotał mi obie nogi. Straciłem przytomność z bolu i silenia się wydobyć z tej przepaści. Gdym przyszedł do zmysłow, począłem oglądać się w około siebie, i postrzegłem towarzyszow moich o dziesięć krokow odemnie, głębokim snem uśpionych, lubo już słońce było wysoko. Nogi moje pobrzękłe i bezwładne omacałem ręką, i poznałem że obie były złamane i obwinięte jakiemiś gałganami. Znowu mi sen czy mdłość zawarła powieki. Za otwarciem oczu, gdym poczuł że ktoś mi głowę podejmował, ujrzałem nad sobą stojącego Praporszczyka, z rękoma założonemi, i wyrazem politowania na twarzy. Zdawało mi się że przed skonaniem widzę djabła w postaci mego prześladowcy, a widząc że to fantazma rzeczywistą przybrało postać, rzekłem: — Umarły człowieku, poco przychodzisz trapić mię w ostatniej godzinie życia mojego? — Bieńkiewiczu! Bieńkiewiczu!.. O nieszczęśliwa

godzina poznajomiła nas bracie, i ciągle sprowadza z sobą... — Zbliżyli się dalsi towarzysze, podjęli mię; doświadczałem nieznośnego bolu w nogach; podali mi wody, orzeźwiłem się nieco, i dalej patrząc na zjawioną osobę że nie znika, ale tak jest w ciele żyjąca jak inni, zawołałem: — Tyżeś to jest ten sam, Wasili Iwanowicz B... któremu w karczmie niedaleko Bałty, nos rurą od pistoletu rozbiłem, którego pałaszem ciąłem śmiertelnie, żeś upadł jak snop pod ławę? Tyżeś to, któremu łeb z pistoletu pod Żytomierzem roztrzaskałem? Tyżeś to, którego pułkownik dragonow w Tulczynie rapirem na wylot przeszył, i za którego wieczne odpocznienie biliśmy na pochodzie z armat? — Ja bracie, odpowiedział, ja ten sam jestem. — Jakże mi się tu zjawiasz, czy żywy czy umarły? — Żyję, powiedział, a żyję dlatego, ażebym poznał wszechmocność i wielkość Boga. On zniweczył mojej czarnej zemsty zamiary. Pozwol się pojednać z tobą. Daruj, przebacz mi, o rzadki człowieku! przebacz dla miłosierdzia Boga ukrzyżowanego! — Podałem rękę i rzekłem: — Niedola niech zatrze urazy w pamięci naszej. Bóg widzę tak chciał, abym w tym stanie i miejscu się znajdując, pojednał z tobą. —

Posłaliśmy czterech naszych na zwiady, co się dzieje w okolicach tej ustroni.

Przyniesiono też trochę żywności, byliśmy bowiem o półćwierć mili odewsi, w której się znajdował monaster grecki. O Turkach ani o naszych, żadnej wiadomości nie było. B. . poszedł sam jeszcze dla wypytania się lepszego: powróciwszy zasilił cały oddział nasz gorzałką i mięsiwem pieczonem, które z sobą przyniosł; potem tak opowiadał mi przygody swoje: — Nazywam się Wasili syn Iwana B..., świetnej familji wyrzutek; przepędziłem młodość moję w rozwiozłości i marnotrastwie. Będąc praporszczykiem w Muromskim piechotnym pułku, uwiozłem żonę tego to trutnia, do którego przysłano cię Bieńkiewiczu na komisarza. Kiedyś mię okaleczył w karczmie na noclegu, zaprzysiągłem ci wieczną zemstę. Wyleczony z rany, dowiedziałem się kto jesteś, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Udałem się więc do Kamieńca przebrany za markitana, abym cię zdybał i zamordował, aleś był już wyjechał. Puściłem się przeto w pogoń za tobą i dognałem w Żytomierzu, lecz tam nie mogłem nic począć: nająłem tedy kilku dońskich kozakow z komendy tam stojącej, i popędziłem się za tobą. Strzeliłeś do mnie, kula przeszła po wierzchu głowy wprawdzie, ale tak zadrasnęła żem ledwie w pół roku nauczył się mówić, a przez rok cały chorowałem. Zdarzyło się potem, żem cię szukał w Oszmiańskiem; później

wyprawiony byłem po rekrutow do Smoleńska, i kiedym powrócił pod Warszawę, dano mi komendę w okolicach Brześcia litewskiego. Jakże piekielna żądza zemsty mojej była uradowaną, kiedy mi żydzi donieśli o tobie! Natychmiast wziąłem kozakow najlepszych i mniemałem że cię spalę razem z domem twoim; ale się pierwsze nie udało. Wyśledzili żydki, żeś powrócił i we wsi blizkiej bawisz; tam więc napadłem i znowu mi się nie powiodło Moje zwiady ścigały cię potem aż do konfederatow i tuśmy się rozłączyli. Następnie, trafem w Czartorysku wpadłeś mi w ręce; gotowałem się do wywarcia całej okropności zemsty nad tobą, gdy mię ten dragon przeszył szpadą. Ludzie moi obrali mię do ostatka i porzucili w Tulczynie, posławszy wiadomość do komendy że już nie żyję. I w rzeczy samej tak byłoby, gdyby pewna miłosierna dama nie znalazła mię chorego w stajni, gdzie mię służący porzucili, przykrywszy starym płaszczem Szczęściem zdarzył się dobry lekarz który mi życie powrócił, znalazłszy ranę moje nieśmiertelną. Po wyleczeniu udawszy się do armii, powziąłem jeszcze wiadomość o tobie. Wnet zapisałem się do ochotnikow partyzantskich i znalazłem zręczność wypalić z dwóch pistoletow do ciebie. Bóg cię zachował Znowu w bitwie ostatniej zbliżyłem się ku tobie, lecz konia tylko

udało mi się zastrzelić. Postrzegłszy ku wieczorowi, żeś walczył pieszo ze strzelcami razem, przyłączyłem się do was. Hałas trwogi przezemnie sprawiony, stał się przyczyną rozsypki tej piechoty, ja to byłem tuż za tobą, zaprowadziłem was w to miejsce, strąciłem cię ze skały i potoczyłem kamień, który ci nogi zgruchotał. Słyszeliśmy w głębi rozpadliny skalnej jęczenie twoje. Wtedy serce moje poczuło skruchę dotąd nieznaną; bo gdyś wzywał Matki Najświętszej jako pocieszycielki utrapionych i ucieczki grzesznych; żal nad tobą i żal za grzechy moje, przemieniły mię jakąś cudowną mocą, z wroga w przyjaciela twego. Starałem się z tymi poczciwymi kollegami o twoje ocalenie. Niestety! może już zapóźno. Teraz towarzysze moi, sądźcie i karzcie mię; wyznałem przed wami całą winę moję.— Śmierć! śmierć! zawołali wszyscy.— Jeden się porwał do pistoletów i zmierzył do piersi B..— Hola! stojcie, zatrzymajcie się bracia, krzyknąłem; na rany boskie was zaklinam! Kto szczerze wyznaje grzechy swoje i szczerze za nie żałuje, nie może być ani sądzonym ani karanym od ludzi. Zostawmy to Bogu samemu, ten człowiek potrzebnym jest w wojsku.— Zgoda! odpowiedzieli; i tak przebaczono winowajcy.

Towarzysze zanieśli mię do klasztoru i mnichom oddali w opiekę, przyrzekłszy

sowitą nagrodę za wyleczenie i żywność. Dwa lata byłem na Wołoszczyznie. Z początku leczono mię i dopatrywano, lecz potem gdy nie było nadziei nagrody, wyrzucono z klasztoru pod pozorem że jestem heretyk i nawrócić się nie chciałem. Ludzie klasztorni przez litość zrobili dla mnie budkę przy murze cmentarnym, gdziem kaleka czołgał się do koła mego legowiska, zbierając jałmużnę. Jednego razu, kiedym siedząc pod cieniem budy mojej, śpiewał *Boże w dobroci nigdy nieprzebrany*; przechodzący Turek zatrzymał się, usiadł na murawie, i wysłuchawszy całej pieśni, podszedł do mnie i zapytał po polsku kto jestem. — Panie, rzekłem, jestem szlachcic polski, niegdyś konfederat Barski, potem jeniec rossyjski, partyzant, a teraz kaleka i żebrak najnieszczęśliwszy. — Rozmawiał długo zemną, przychodził jeszcze razy kilka, nim opowiadaniem mojem zaspokiłem zupełnie ciekawość jego. Był to kupiec handlujący z Polską, zwiedzał Lwów, Warszawę i inne miasta nasze. Raz przyszedłszy powiedział, że odjeżdża i podał mi nieznacznie kiesę złota. — Weź, rzecze, te pieniądze i schowaj, a tymczasem wypatrz zręczność wrócenia do ojczyzny. Tu gdyby postrzeżono, że masz pieniądze, życie twoje niepewne. — Ścisnął mię za rękę i odszedł.

B... pamiętał o mnie i przybył niebawnie

do monasteru, aby mię zabrać z sobą; lecz mnisi koniecznie chcieli zapłaty znacznej za moje pożywienie i leki, lubo pierwsze sam od miłosiernych dostawałem ludzi, drugie zaś tak dobrze uskuteczniono, żem na całe życie władanie obiema nogami postradał. Przyjaciel mój był w kłopocie, gdyż nie miał z sobą wielkiego zapasu; wówczas dałem mu kilkadziesiąt sztuk złota, żeby zaspokoił chciwość mnichow i przygotował się do wygodnej podróży. Udaliśmy się prosto do Kijowa. Mój towarzysz był w randze pułkownika z dymisją; znaleźliśmy tam hrabiego Rumiańcowa, którego właśnie nagrodziła była Cesarzowa ogromnemi dobrami na Białejrusi. Ten pan umieścił w nich wielu z armji swojej oficerow potrzebujących wsparcia, my z B... otrzymaliśmy mieszkanie, stół i cokolwiek pieniędzy rocznie, bez żadnego obowiązku.

W pokoju i na wygodzie, zaczęliśmy przepędzać dni odpoczynku. Nielubiąc nigdy próżnować, założyłem u siebie małą szkołkę dla chłopcow, których uczyłem czytać i pisać. B.. przez nawyknienie do wojskowości, uczył ich musztrow i gimnastyki. Hrabia dowiedziawszy się o tem, okrył nas pochwałami i powiększył wygody nasze, przydaniem dwóch sal obszernych do mieszkania, tudzież posługi potrzebnej Założyłem ogrod z ziół leczebnych i ozdobnych kwiatow. Zdarzyło się

że pewna wdowa umyśliła powierzyć mojemu staraniu początkowe prowadzenie swego synka, co było powodem do zaznajomienia się z Teresą, siostrą tej pani. Teresa była młoda, śliczna kobieta, najlepszych skłonności, dobrze wychowana, ale żadnego majątku czyli tak zwanego posagu, nie miała. Wkrótce przeznaczenie chciało, aby ta osoba zgodziła się podzielać losy z kaleką i została mą żoną. Byłem więc zupełnie szczęśliwym, ile nim być może człowiek w mojem położeniu zostający. B .. podstarzały już znacznie i słabego zdrowia, cieszył się z tego postanowienia, gdyż mogliśmy prowadzić gospodarstwo wygodniejsze. Lecz radość jego niedługo trwała; w rok po mojem ożenieniu żyć przestał. Pogrzebłem zwłoki jego jak brata i przyjaciela, oblawszy czułemi łzami. Bóg mu widać przebaczył wykroczenia młodości, ponieważ dni ostatnie w stanie pokutującego chrześcijanina przepędził, zawsze okazując żal szczery i zawsze miłosierdzia boskiego żebrząc; zasnął śmiercią prawego człowieka i przykładnego pokutnika. Boże! daj nam podobne wytrwanie aż do śmierci.

Teresa tymczasem powiła mi córeczkę, którą nazwałem Marysią, na pamiątkę mojej pierwszej miłości. Rozczulający to był widok gdy Teresa w sztucznym wozku woziła mię po ogrodzie, trzymającego na ręku maleńką

Marylkę. Lecz przeznaczenie moje nie spełniło się jeszcze; potrzebne były inne nieszczęść koleje do uzupełnienia cierpień moich nieopisanych żadnem piórem; gdyż to co kreślę, jest tylko słabym doznanych uczuć zarysem.

Dwóch młodych obywateli, mieszkających niedaleko Kijowa, zaznajomiwszy się ze mną, zwierzyło mi się z nowemi planami, albowiem w Warszawie snuły się wtedy projekta republikańskie do wskrzeszenia konfederacji Barskiej nakierowane. Potrzeba było zrobić u nas związek; poczęliśmy więc z ostróżnością werbować towarzyszów. Rzeczy szły dość tajemnie, ale się skończyły niepomyślnie. Nie było ani chwili czasu do stracenia; we trzech musieliśmy uciekać do Galicji, i to się nam powiodło. Zaczęto wszakże śledzenie; krewni moich dwóch towarzyszow, chcąc ich ocalić, wszystko zwalili na mnie. Wydano zaoczny wyrok śmierci, gdziebymkolwiek poścignionym został; żona moja umarła z nędzy i rozpaczy, udawszy się do krewnych moich w Oszmiańskie, na wyraźne polecenie którem dał jej przed odjazdem, spodziewając się wkrótce tam powrócić. Nie długo przebywałem w Galicji, gdyż towarzysze moi, otrzymawszy przebaczenie, wrócili do swych majętności. Bawiłem czas niejaki w Krakowie i znowu zmuszony byłem szukać

schronienia za granicą. W Szląsku, w jednym klasztorze upatrzyłem sobie spokojny pobyt. Jużem zamierzał zakończyć tam życie, gdy razu jednego dowiedziałem się, że pewien pan polski z Włoch powracający, znajdował się w tem mieście. Był to brat rodzony owego magnata, pod którym na Wołyniu podstrzeliłem konia, a który teraz szczęśliwie na tronie polskim zasiadał; mając zręczność widywania się i poznawszy w nim człowieka rzadkiej między panami polskiemi oświaty, opowiedziałem jemu dziwne przygody moje. Pod przybranem imieniem, jako architekt przypadkiem w Rzymie okaleczały, o czem sporządzono mi urzędowe świadectwo, przybyłem z nim do Warszawy. Tam to powziąłem wiadomość o śmierci mojej żony, tudzież o Antonim Łukaszewiczu, którego niedolę podzielała Marysia.

Mój dobroczyńca i brat jego wspaniały, opatrzywszy mię tysiącem czerwonych złotych, wyprawili do Litwy. W Oszmiańskiem, opłakałem stratę Marysi i Teresy, a mała Marylka została mi całą pociechą. Zabezpieczyłem los poczciwego Antoniego Łukaszewicza i jego rodziny; sam zaś za poradą spowiednika udałem się do Wilna, pokutować za grzechy, prowadząc pustelnicze życie wśrod ludnego miasta; pani Kulbacka, jak wiecie, dała mi przytułek. Bóg mi udzielił sił i zdrowia do

przedłużenia życia pokutnego, ile mu się zdać będzie. Przyzwyczajenie sprawiło że to życie nie byłoby dla mnie pokutnem, gdybym nie doznawał prześladowań często niezasłużonych. To mię księża porywać każą z miejsca, i męczą badaniami swojemi, od których broniony bywam przez księży świętokazimierskich; to mię do Rochitow oddawano, kto wie poco i naco; to przechodzący czasem ludzie złorzeczą lub się urągają, ale też litościwi nie szczędzą jałmużny, o którą nigdy nikogo nie prosiłem; są i tacy, co mi stale w pewnym czasie pieniądze przysyłają.

Wiesz ile dałem komu, mój panie Michale; zresztą o czem nie wiesz, to wedwojnasob wiadome przewyższa: niech będzie wszystko na chwałę Najwyższego i na zbawienie dusz dobroczyńcow moich. Przyjdzie czas, że pamięć moja w ustach Wilnianow zagaśnie, mojego kamienia i śladu nie będzie; lecz żyje wiecznie Bóg w dobroci nigdy nieprzebrany!. —

Prawdziwe wypadki tu opisane, zaszły między 1740 i 1790. rokiem. Być może, iż wielu jeszcze w Wilnie pamiętają Dziadka *Boże w dobroci* zwanego. Nic w tej powieści niema zmyślonego, wszystko czerpane z historycznych źródeł, tylko układ i opowiadanie mojem są dziełem.

Teodor Narbutt.

NA PIASKACH

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

Est-il rien sur la terre
Qui soit plus surprenant,
Que la grande misère
Du pauvre Juif-errant!
(*Vieille chanson*)

przez

M. B.

Wszystkim znajomym Druskienickim, których zabrana lub wznowiona przyjaźń i uprzejma towarzyskość, niemniej może jak słynne źródła, przyczyniły się do uzdrowienia drogiej rodziny,

W dowod wdzięcznej pamięci

poświęca

Autor.

NA PIASKACH.

I.

Znajome są zapewne każdemu z jadących traktem wileńskim przez Merecz do Druskienik, owe że tak rzeknę, widomie przeklęte od niebios, trzy mile piasczystych wydmow, co się tak martwo świecą wzdłuż prawego brzegu Niemna. Tą jednostajnością widoku, gdzie niegdzie przerywaną tylko karłowatemi krzewami jadłowcu, znudzony może niejeden podróżny klął też w niebogłosy książeczkę przynajmniej Wolfganga, jeśli nie samego Doktora, za owe brzmiące opisanie jego cudowności źródeł, a zdradliwe jakby umyślnie przepomnienie szatańsko-piasczystego tartaru, przez który dążąc najzdrówszy amator wód wszelkich, zachoruje z nudy; chorzy zaś z przedwcześnie piaskiem zasypanemi oczami, zdają się żywcem do grobu zajeżdżać. Owoż, jeśli kto z naszych Inflant lub z Litwy, od Dźwiny i Wilji do Druskienik dążący, takiego jak ja w podróży nie doświadczał wrażenia, niechaj mu za to lekką będzie kiedyś przodkow jego ziemia; co do mnie, jakkolwiek ojczyste kocham i miłuję niwy, nie zjedna sobie wszakże nigdy przywiązania mego ów szmatek

żółto-paljowego koloru, co się poczyna od góry za przewozem starego Merecza, a ciągnie się aż do siedziby młodej Druskienickiej Ondyny.

Ale przepraszam za tę zbyt ogólnie może rzuconą anatemę na gościniec mereczański; jest bowiem w połowie tej drogi przerwa niejakaś na wypoczynek znudzonych jednostajnością zmysłow. Chcę mówić o górze *Uciechą* zwanej od sioła, czy też sioła od góry; ta istna *Uciecha* dla podróżnych wśród martwej równiny ciekącego piasku, musiała zapewne przezwisko swe otrzymać z łaskawego szafunku wędrowca, który niegdyś może, podobnie jak ja, trzynaście śmiertelnych godzin strawił na gościńcu wiodącym od grodu wsławionego śmiercią Władysława IV, do owego znów grodu, w którym powieki swe zawarł mężnego serca i szablistej dłoni nasz Stefan Batory wielki. (*).

(*) Według podania gminnego nazwanie tej góry pochodzić ma od następnego wypadku. Wieśniak pewien wiozący dwie beczki soli, dla ulżenia koniowi ciężaru na górę, zdjął jednę beczkę u jej podnoża. Drugą przywiozłszy na wierzchołek, zdjął także z woza, i pojechał po pierwszą którą na drodze był zostawił. Lecz niestety, nie znalazł już jej na miejscu; zabiegł więc do karczmy, gdzie się na pociechę uczęstował wódką. Tymczasem zręczny złodziej, ukrywszy pierwszą beczkę soli w zaroślach przy drodze, z drugą na górze toż samo uczynił. Wieśniak nieznalazłszy swej soli, wrócił jeszcze do karczmy i rzekł w rozpaczy: otoż tobie pociecha! Ztąd jakoby karczmę i górę nazwano Uciechą. przyp: Aut.

Rzeczywiście zbliżając się do *Uciechy*, widok osładza na chwilę ponure i gorzkie myśli, któremi się trapi serce pielgrzyma do wód słonych dążącego. Ztąd, wpłynąwszy na sam wierzchołek góry przez fale rozkołysanego piasku, podróżny odpoczywa niby, goniąc wzrokiem dokoła; tam kilka smętnych osin i świerkow, już nietak nudnym jednostajnym widokiem jadłowcu oczom jego świecą; kilka znowu lepianek pyszniących się folwarka nazwiskiem, obecność istot żyjących na tej pustyni świadczą, a tam jeszcze niżej i głębiej, kałuża przybierająca kształt niby stawu, otoczona wązkim pasem zielonego ajeru i oczeretu, odbija barwę drożyny nieco odmiennej od jej starej matki jaskrawo żółtej drogi, co po za górą została. Ach *Uciecho*! istna Oazydo stepu, którego fale prółem spiesząc do Druskienik! Tyś mi była wytchnieniem dla ciała i myśli; ty stojąc tam jak czata przodowa, zwiastujesz nam przybyszom od Dźwiny, całą malowniczość przyrody, jaką wkrótce brzegi Rotniczanki przedstawić mają; a jeśli gościniec do ciebie wiodący, rozczarowuje przychodnia, ty go znowu godzisz z okolicą, do której on tak skwapliwie ale razem też i tak leniwie dąży! Dla ciebie więc, jako zwiastunki lubych jeśli nie ładnych Druskienik, moje tu zapisuję wspomnienia. Po twych piaskach jechałem strapiony, i po twym parowie i grzbiecie

wesoł z odzyskanego zdrowia lubych mi istot wracałem; słowem z twej okolicy uszczkniony, *Ondynie Druskienickiej* przynoszę kwiatek, skromny, bez woni, martwy i suchy jak twoje piaski, lecz równie jak one tęsknie przeszłością przesiękły, a ztąd może dłużej w pamięci mojej przetrwały.

II.

Było to w 184* roku, jeśli się nie mylę przy końcu czerwca, około godziny dziesiątej z wieczora, gdy siedm szkap rosłych w Wilnie najętych, całą mocą swych karkow i piersi ciągnęło mój powoz od Merecza. Co chwilę stawały poczciwe koniska w piasku tak głębokim, że kiedy woźnica biczem rysował zapylone ich grzbiety, nietylko tonące koła powozu, lecz i nogi własne z trudnością wydźwigać zdołały; deszcz jednak rzęsisty lał od samego rana, i o tej chwili jeszcze tak gęste kropłe uderzały w okna pojazdu, iż ubity i przemokły piasek, powinienby może nieco twardszy stawić opor znużonym czworonogom. Ztemwszystkiem, chociaż dość wcześnie wyruszyłem był z Merecza, zaledwo pół mili odjechałem czyli raczej odpełzłem, leniwym lecz jednostajnym krokiem, a już się poczęły nudne nieustanne odpoczynki tak częste, żem dopiero po ciemku zbliżał się do wpółdrożnej z Merecza do Druskienik góry, *Uciechą* zwanej.

Nakoniec stanęły raz jeszcze wypoczywając

przed spuszczeniem pojazdu ze wspomnionej góry, do karczmy u jej podnoża położonej. Tam furman z forysiem jednogłośnie mi obwieścili, że przenocować należy, na co jeślibym się nie zgodził, toćby przecię popaść konie i doczekać dnia białego wypadało. Naturalnie wieść taka, niemile przyjętą być musiała po pięciodniowem czwałowaniu z brzegow Newy do Merecza, byle się tylko co rychlej dostać do źródeł, z których najmilsze sercu, żona i dziatki chore, czerpały zdrowie. Wyobraźcie więc sobie kochani czytelnicy i czytelniczki, człowieka po dwóch śmiertelnych dla duszy i serca miesiącach rozstania, już już marzącego lube spotkanie, i dowiadującego się natomiast, że całą noc jeszcze potrzeba w brudnej karczmie przenudzić; ale rzeczywistość, smutna rzeczywistość, tłumacząca się dobitnie widokiem zmęczonych koni, którym blask od latarni u powozu w tej chwili zapalanych, jakieś o litość wołające nadawał wejrzenie; wreszcie deszcz ulewny, szare ołowiane niebo i ta posępna okolica, wszystko nakazywało uledz przeznaczeniu.

— „A więc nocujmy w *Uciesze*, którą bodaj czy nie bies dla siebie po tym piekielnym wybudował gościńcu!“ — Kiedym to wyrzekł wysiadając z powozu, ciężkie jakieś z ubocza westchnienie, zdało się na moje odpowiadać słowa. Odwróciłem się: żyd stary z po-

siwiałą brodą, któregom już był wprzódy kilka razy postrzegał, z równą prawie jak mój powoz szybkością, pieszo tąż samą drogą dążącego; żyd, odziany w łapserdak przemokły i przylipły do chudych kościstych członkow, jakby dla wytchnienia oburącz na kiju wsparty, z politowaniem poglądał, i z jego to piersi wydobywało się ciężkie westchnienie, które moję na siebie zwróciło uwagę. Nie lubię, wyznam szczerze, żydow, tak niewdzięcznych dla tak zwanego ich raju — dla ziemi naszej. Nie podobał mi się przeto ów o nocnej dobie świadek przygod moich, i tych dwoje oczu siwych, wpadłych i ponuro zapatrujących się na cały ruch mój podróżny.

Kochanku, — rzekłem dość cierpko, — zda mi się żeśmy nieznajomi, nie widzę przeto powodu dla którego wszystkie kroki moje szpiegujesz? I kazałem ruszać woźnicy, sam zaś idąc za powozem z służącemi, rzuciłem jeszcze wzrokiem po za siebie ku górze, kędy był został podróżny, czy może po prostu żebrujący żydowin: wtedy zdało mi się, że jakąś inną w bok mknęła postać jego ścieżyną, i postać ta w olbrzymie pociemku rosnąc kształty, rychło znikła w krzakach gęstego jadłowcu, rosnących obficie po brzegach drogi, kręto z góry prowadzącej; lecz kiedym wsiadł do powozu, blask latarni ścieląc się po przydrożu, ukazał mi tam znowu postać żyda śpiesznie idącego, a deszcz

wyglądał jak siatka cienka między nim i mną rozpięta, albo raczej podobny był do nitek i drótow teatru marjonetkowego, gdy tymczasem żyda ruchy jakoś konwulsyjne i drgające w zamaszystym chodzie, przedstawiały oku wykrzywiania się judejskiego Poliszynela, owego, co go dawniej po jarmarkach ludu naszego, djabeł porywał i dusił za to, że kiedyś Chrystusa Pana swego, rod żydowski umęczył bezbożnie. Wkrótce znikł mój towarzysz pieszy, bo konie czując zapewne zwykłym zwierząt instynktem blizką gospodę, pokłusowały sporzej po gładkiej i mniej piaszczystej przed samą karczmą drodze.

Było blizko północy, gdy wszedłem do izby przestronnej, brudnej, bez pomostu nawet, a oświeconej tylko zatkniętem w szczelinie łuczywem, przy którego świetle kilku chłopow dopijało sporej miary, tak ulubionej od Dźwiny i Dniepru po Wiliję, Niemen i za Niemen nawet, piekielnej brandewiny (*)

III.

Zdaje się, że przyrodzenie darząc Chińczykow zapaszystym herbaty krzewem, lub Amerykanom udzielając liści owego dzisiaj tak nam swojskiego tytuniu, nie tyle miało na celu mieszkańcow błogich owych krajow, zkąd się do nas rośliny te dostały, jak raczej przezna-

---

(*) Wyraz czysto Łotwacki.

czyło je dla litewsko-polskich podróżnych, zmuszonych noclegować lub gościć chwilowie, w straszných nieraz szałasach, przypominających poniekąd wozy przodkow naszych scytyjskich, a pompatycznie u nas austerjami, lub skromniej karczmami przezwanych. W samej rzeczy, czemże się podróżnemu ochronić od swądu karczemnego, zwłaszcza tam, gdzie żyd arendarz z tuzinem bachurow izby zapowietrza, jeśli nie wonią wówczas prawdziwie rajską, delikatnego zwitka Hawanny? A kmiotek nasz, czemżeby swój zmysł powonienia, lubo mniej delikatny, ochronił od brzydkich tam wyziewow, czemby nawet głod swój codzienny przytłumił, w tych ogołoconych ze wszystkiego co do pierwszych potrzeb życia należy, karawanserajach, jeśli nie dymem papuży ukraińskiej, też samą i lepszą może jeszcze przysługę jemu wyświadczającej, jak obłoki naszej i dla nas sprowadzanej Emprezy lub Manilli, albo żółtego zapaszystego od Hollandra w Rydze knasteru? Dzięki przezorności, com ją w niejednej już nabył wędrówce, miałem z sobą dostatkiem, owych panacei przeciwko atmosferom karczemnym; wkrótce więc po przybyciu do austerji, nominis *Uciecha*, ciepliłem się aromatem niebieskiego państwa, kwiecistej Losanny-Ososki (*) otoczony obłokiem, którego zapachu sami bo-

(*) Jeden z najaromatyczniejszych gatunkow herbaty.

gowie Olimpu rzymskiego, nietylko litewskiego, pewnoby mnie pozazdrościli. Tymczasem druga połowa stołu karczemnego, nad którym już dym od imbryka i fajki mojej w podwójnych wznosił się kolumnach, odziewała się wspaniale w kobierzec miękki i poduszkę podróżną. Niezadługo też, zapaliwszy *pro varietate* ambrozyjskiej woni *paperitos*, dla przywołania na noc najmilszych w około siebie Morfeusza darow, leżałem w słodkiem *far niente*, dość sklonny do rychłego snu po dziennych i wieczornych nudach, a myślą goniący już niedalekie odemnie postacie drogiej mi gromadki w Druskienikach. Służący zaś moi, zaszczycając pana Grzegorza woźnicę swojem towarzystwem, zasiadłszy całem gronem przy smolnem łuczywie na zedlu pod pieczyskiem, spijali tam w swą kolej, już sam niewiem co, a bodaj podróżną pana swojego herbatę, z dodatkiem obwarzankow mereckich, i cicho gwarząc między sobą, szeptem swym bardziej jeszcze do snu mię zniewalali. Już już powoli, poczęły gasnąć razem z moim *paperitosem* pierwsze z pięciu zmysłow, a wzrok ledwo już dostrzegał sylwetki służebnej gruppy, siedzącej w około smolnego światła łuczywa, gdy nagle drzwi się ze skrzypem otworzyły, konie w stodole zarżały głośno i zachrapały; ludzie na ten hałas zerwali się z miejsca swego, i uśpione zmysły moje, razem się zbudziły na widok...

jak myślicie na czyj widok? Oto żydka towarzysza, cośmy go zostawili wśrod piaskow na górze, pieszo tęż samę podróż od Merecza odbywającego. Służący moi, brutalsko przychodnia przywitawszy, nie miłosiernie za drzwi wypychali, gdy on żałosnym głosem błagał o kątek na chwilę wypoczynku. Już biedaka protestacja zamieniać się poczynała w lament krzykliwy, z powodu nieaksamitnej dłoni pana Grzegorza woźnicy, w brodzie jego utopionej; kiedy zupełnie zbudzony i rozpoznawszy o co rzecz idzie, kazałem wpuścić do izby żydka, i szklanką ciepłej herbaty z kołaczem poczęstować, co dość nie uprzejmie uczynili panowie służby, mój zaś gość z wielką zdawał się przyjmować wdzięcznością; poczem usiadł przy samym końcu długiego stołu izby, jakby w nogach olbrzymiego posłania mojego, i tam oświecony blaskiem palącego się łuczywa, spożywał ofiarowany sobie spory kołacz merecki.

Wybity już ze snu i leżąc spokojnie, mogłem przypatrzyć się snadniej fiziognomji przybysza nocnego. Był to starzec wieku bardzo podeszłego, sądząc z barwy siwo-żółtawej brody i pejsow jego rzadko porosłych, a dopiero jeszcze bardziej obwisłych i zwilżonych od całodziennego deszczu; ale oko siwe, błyszczące z pod gęstych a także biało żółtych brwi jego, nos orli, usta wązkie, noszące jakiś wyraz ironji smutnej pod spadzistym wąsem; po-

liczki acz chude, lecz nie obwisłe, jak to bywa u starych, do tego czoło wysokie, pomarszczone wprawdzie, ale dość szlachetnego kształłu i przyodziane jarmułką kroju nieco odmiennego jak u naszych żydow; nakoniec postawa wzniosła i ruchy dość żywe tego potomka rodu Jakóbowego, kazały wnosić, że krzepki starzec jeszcze młodego wart gacha; a przynajmniej sprostałby nie jednemu z takich w jakiej bądź pracy, do którejby muskularnych należało użyć wytężeń i siły. Kiedym takie czynił postrzeżenia, służący wszyscy już się byli posilili i zabierali do snu po przybocznych ławach izby. Pan Grzegorz do swych koni powrócił, by z niemi w stodole noclegować; a kamerdyner zapytawszy o porządek podróży na dzień jutrzejszy, nocną świecę na podłodze w misie ustawił, i niespokojnie poglądając na żyda, układł się wygodnie przy piecu. Tak więc wszystko już w izbie ucichło, a ja zapaliwszy cygaro, leżałem wodząc wzrokiem po ścianie przeciwległej, ale częściej go jednak zatrzymując na postaci żydowskiej, siedzącej w milczeniu jakiemś wymównem, i prawie nieruchomie przedemną. Po długiej chwili rzekłem wreszcie do żyda:

— Czemu się nie układziesz do snu, mój żysiu, jak wszyscy?

— Nie staje mi na to czasu mój Panie — odrzekł podróżny głosem smutnie drżącym.

— Czyli cię tak nagły pędzi interes, że nawet po trudach dziennych nie pozwalasz sobie użyć godziny wytchnienia?

— O, dobrze Pan mówisz — rzekł żydowin potrząsając głową poważnie — tak jest, w samej rzeczy nagła mię wiedzie potrzeba, i nie mogę jakbym chciał może, przez krótką czasem wypocząć godzinę.

— A czy nie można się dowiedzieć, panie starozakonny, coby to był za interes tak ważny, że człek musi jemu poświęcać porę nawet od samego Boga na odpoczynek przeznaczoną? Czy nie wicina pszeniczką ładowna po Niemnie, albo może kontrabanda?... hm? Wyznaj-no, że już ci zgadłem przyczynę tak niezwykłego pośpiechu?

— Nie, nie zgadłeś Pan — krótko odparł zarwany w ten sposob żydek. — Dokąd że przecie idziesz? — zapytałem zaciekawiony misternym tonem jego wszystkich odpowiedzi. —

— Pan Bóg jeden wie o tem — odrzekł żyd solennie —

— Zapewne też i ty kochanku wiedzieć musisz o tem?

— Zgoła nie, mój Panie — odpowiedział żyd powolnie — tak jest, sam niewiem dokąd idę, a wiem tylko, że mną boska kieruje wola! — I po chwili dodał ciszej: — Wola ta, kieruje mną inaczej jak resztą śmiertelnych ludzi na tym padole; i sprawiedliwie tak czyniąc, ze

mną czyni, bom i ja może nie podobny do reszty bliźnich moich na tym świecie. —

Już byłem wprzódy zauważył, że mowa interlokutora mego, sposob wysłowienia się jego, i kształt myśli, nie były takie jakichbym spodziewać się mógł od członka owej równie głupiej u nas, jak licznej żydowskiej gromady; lecz ostatnia zwłaszcza odpowiedź, przejęła mię dziwnem jakiemś uczuciem litości dla biedaka, który tak się duszą bardziej aniżeli głosem uskarżał, i który tak zdawał się być kornym swemu przeznaczeniu, smętnie i solennie czoło swoje przed niem uchylając.

— Słuchaj panie starozakonny — rzekłem do niego (i ten przydatek tytułu pana, brzmiał już nie dla żartu w mych ustach), otośmy tu sam na sam, i nie czujemy jak się zdaje skłonności do spoczynku; opowiedz mi więc twoje przygody, muszą być zajmujące; lubo wyznam że nie tyle z ciekawości, ile ze współczucia, radbym się o nich dowiedzieć. Dla mnie czas krótszym zdawać się będzie, a twemu sercu może ulży, ciężar swój przed uważnym zwalić słuchaczem. Nim się konie popasą, mamy jeszcze godzin kilka czasu przed sobą; poczynaj więc proszę, a rad ci za to nadgrodzę, nawet sowicie, i serdecznie podziękuję.

— Mój Panie — odrzekł żyd po chwili namyslu — nagrody nie potrzebuję za powieść, którą mógłbym wreszcie, gdy chcesz koniecz-

nie, opowiedzieć tobie. Pieniędzy mam zawsze przy sobie zadość, i oto (dodał wyjmując z kieszeni dukata), oto złota moneta, która jak ród judejski wszędzie jest znaną, i jak on błędny wszędzie krąży ... tylko, że zamiast pogardy pokłon od wszystkich, od królow i kmiotkow zarówno odbiera; gdy my żydzi.... ale po co o tem tu gadać! Dziękuję przeto Panu za jego ofiarę, z dukatem wszędzie się przebiorę, a on w kieszeni mojej zawsze niewywodny; lecz za serdeczne uczucie, któreś Pan tak uprzejmie ofiarował biednemu żebrakowi, za to uczucie, ... jakkolwiek mi przykro będzie... .. odnowię boleści serca mego. Opowiem pokrótce przygody moje, bo niewiem nawet czy będę mógł dokończyć, zanim służący się zbudzą; a i mnie też rychło, rychło trzeba iść dalej w drogę! —

Wyrzekłszy te ostatnie słowa z wyrazem boleści, wstał starzec ze swego miejsca, i usiadł przy mnie na ławie. Jam sięgnął po nowe cygaro, zapaliłem zwitek, i pół-leżący, oparty łokciem na poduszce podróżnej, okazałem że gotow jestem słuchać powieści. Żyd zaczął półgłosem temi słowy:

— Dalekie mię rodzą kraje, pierwsze bowiem światło dzienne ujrzałem w Jerozolimie; a zowią mię *Aschwerus*.... —

— Jerozolima!.. Aschwerus! .— powtórzyłem niechcący, jakby mi te dwa imiona

społem wyrzeczone, znajomą jakąś postać i wypadki napominały — Jerozolima? Aschwerus? — rzekłem wpatrując się uważniej w oblicze starego żyda.

— Tak jest, Panie! — powtórzył żyd z przyciskiem: Jerozolima! Aschwerus! Czyliż nie prawda, że po nich myśl wnet dodaje. . Żyd błędny! — Ja nim sam jestem, i oto masz go Panie przed twemi oczyma —

— Co!... jakto!... Żyd błędny?... tu... tu na Litwie? być nie może! — I rozśmiałem się pół wesoło, pół gniewnie, na myśl, że mię tak grubym konceptem, zamierzał żydek ułudzić.

— A jednakże tak jest w istocie — rzekł wędrowiec — O, nie pierwszy to raz już te zwiedzam strony, i pewno nie ostatni —

— Aschwerusie! rzekłem — niechcę jeszcze zupełnie zaprzeczać, lecz wyznam że z trudnością przychodzi mi wierzyć twym słowom. Ty, żyd polski, w ubiorze naszych krajowych judejczyków, czyliż mniemasz udawać gładko przedemną rolę na siebie przybraną? Wszakże ja czytam kochanku, czytam wiele, i przygody twoje, albo raczej tego czyje nazwisko tak śmiało przybierasz, dobrze są mi z książek wiadome; nawet wyznam ci, że wielką zawsze i głęboką w powieści tej myśl upatrywałem. Nie sądźże przeto, iż mię łacno oszukasz, a przyznaj raczej, że zasłyszawszy gdzieś o błędnym żydzie i odwiecznych jego wędrówkach po

świecie, zachciałeś przybrać to imie, oblec się tajemniczością, a tak łacniejszy do... do litości łatwowiernych przystęp sobie zgotować...

— Jużem Panu powiedział — rzekł uśmiechając się smutnie starzec — że pomocy nie potrzebuję od nikogo żadnej. A żyd ubogi, nie mógłby mieć wiedzy i znajomości dziejow starego świata, zwłaszcza tej jego części północnej, długo w mgle ciemnej z ludami swemi zależałej. Ja przecię, gdyby mi szło o to, mógłbym Pana łacno przekonać, że niema zakątka tej tak obszernej, ale już rozerwanej słowiańszczyzny, którejbym nieznał początkow i jej ludowych przechodow, klęsk, powodzeń i dziejow; albowiem w pierwszym jeszcze wieku ery waszej Chrystusowej, tutejsze brzegi widziały mię fatalnością gonionego, i aż tutaj w owej epoce byłem zaszedł, mniemając że śmierć wśrod ludow barbarzyńskich, dzikich i okrutnych, łacniej się nademną jak wśrod wschodnich współziomkow zlituje; ale wyroki wyższe musiały się spełnić,.. i spełnią się aż do końca! Dziś nawet, dwódziesty raz może tędy wędrując, przekonywam się, że nie wszystkie jeszcze przebolałem katusze. Niewiara bowiem w moje niedole i zamiana ich rzeczywistości w niejakąś mystyczną bajeczność, od trzech przeszło wiekow coraz bardziej a bardziej mię trapią. Dawniej, wierzono i żałowano! dziś już nie wierzą i szydzą! Ach tak jest, dziś mi

nawet i tej osłody, balsamu współczucia odmawia Bóg, przed którym srodze przewiniłem!.. —

Tęsknie zwiesił czoło swoje *Aschwerus*, (tak go bowiem dalej zwać już będę) a skarga żałośna i prawda wymównie tchnąca, rozwiała mgłę nieufności na myślach moich osiadłą. Wiedziony ciekawością, lubo prawie przekonany, że mię nadzwyczajna fantastyczność w tej karczmie napotkała, i władać mną rada; wreszcie nieumiejąc zdać sobie rachunku z różnych myśli, snujących się po głowie, jąłem żyda pocieszać, przepraszać nawet za chwilę nieufności, którą nie pomnę już jakiemi usprawiedliwiałem dowodami; w ostatku, to pochlebiając dumie starca, to znowu natrętnie prośbę moję wznawiając, potrafiłem go skłonić do tyla na moje żądanie, że mi opowiedział dziwną powieść życia swojego, którą tu wiernie, jak ją od niego słyszałem, czytelnikom powtarzam.

— Przebiegnę po krótce lata pierwszej mojej młodości, one niejako dadzą już poznać Panu, do czego mię wiodło przeznaczenie. Wprawdzie przypisują nam wschodniej krainy synom, zbytnią wiarę w ową tak zwaną fatalność, w owe słynne niegdyś *fatum* starożytne Ależ bo jak się temu wierzeniu oprzeć, tym zwłaszcza, co nad sobą skutków dążności tej widzialnie doznali, a dopieroż mnie, jakże istotę jej nie uznawać, mnie, com nieraz już wpływom

widziadła tego na ludzi, przypatrzył się pilnie w ciągu 18-tu wieków ubiegłych. Urodziłem się z pokolenia Nephtali, po stworzeniu świata w 3962 roku, to jest w trzy lata przed owym pamiętnym rokiem, w którym król nasz Herod, umorzył swych dwóch synow: Aleksandra i Arystobula, z rozkazu Cesarza Augusta. Ojciec mój był kołodziejem i cieślą z rzemiosła swego, matka zaś szwaczką i pracującą nad ozdobą odzieży Lewitow, świątyni w Jeruzolimie; była bowiem kunsztu swego mistrzynią. Nauczono mię czytać i pisać zrazu, a gdym już postąpił w lata, dozwolili mi rodzice oboje czytania ksiąg zakonu i prorockich. To, podsycając wyobraźnię moję nie jedną nad wiek wiadomością, czyniło mię obojętnym do prac zwyczajnych i życia według stanu, a ogólnie pogardliwym i nienawidzącym każdego, ktoby się nad moję wynosił sferę. Lat dziewięć jeszcze miałem, gdy raz ojciec mój opowiadał przedemną i matką, że przybyli do Jeruzolimy trzej królowie, dopytując się wszędy o nowo-narodzonem chłopięciu, któremu żądali się pokłonić Wieść ta zapaliła mię ciekawością i zawiścią razem. Wymknąłem się z domu, i pobiegłem do gospody, kędy się byli zatrzymali owi królewscy przybysze. Właśnie wyruszali w dalszą wędrówkę, kiedym się do ich dostał mieszkania; że zaś ubogą miałem na sobie odzież, szedłem zdaleka za podróżnemi, i zno-

wu się z niemi dopiero złączyłem, gdy już do Betleem na noc wstępowali. Tam po raz pierwszy ujrzałem Tego., który poźniej świat cały miał zbawić, a mnie jednego bodaj potępić!.. Ale niewyprzedzając wypadkow, (dodał Aschwerus po tych słowach z niejakąś skruchą wyrzeczonych), wracam do mojej powieści.

Dziś jeszcze, pomnę dobrze postacie trzech królow, bogato przybranych; dwaj pierwsi urodziwi i wspaniali, trzeci zaś wzrostu miernego, a lica skwarem afrykańskim opiekłego; nie tyle mię wszakże grono podróżnych zajmowało, ni złoto i klejnoty na nich świecące, ni te skarby, które wśród kadzideł pachnących z pokorą składali, na wilgotnym pomoście brudnego chlewka Betleemskiego przedmieścia; ale najbardziej mię uderzały powab i blask oczu niewiasty tam siedzącej, i dziecięcia leżącego w żłobie. I jam się schylił kornie na progu ubogiej lepianki, myśląc że możniejszego snać na ziemi niema, gdy mu się w pieluchach jeszcze będącemu, tacy mocarze kłaniają. Ale krótkie było wrażenie, tym widokiem na mnie sprawione; wyszedłem z ciżbą, a niespokojny o gniew i wymówki rodzicow, powróciłem zakłopotany do domu. Wnet przemogło uczucie zawiści i podłej zemsty, nad istotą niewinną ale upakarzającą moję dumę; wykradłszy się więc z domu, pobiegłem do straży pałacowej Heroda, której oświadczywszy się z ważną dla

króla wieścią, póty byłem od wszystkich dopytywany, głaskany i darzony, aż wreszcie cała odemnie wydobyta prawda, odniesioną została do wielkorządcy, który zlękniony tytułem króla żydowskiego, jakim owi przybysze dziecię byli uczcili, wydał ów edykt pamiętny, skazujący wszystkich nowonarodzonych Judei na śmierć przedwczesną, byle tylko Betleemskie dziecię, o którem się Herod z przepowiedni krążącej domyślał, w ogólnej rzezi zaginęło. Tak więc ja będąc jeszcze sam prawie niemowlęciem, stałem się poniekąd przyczyną zbrodni najokropniejszej, jaką człowiek popełnić może; byłem też powodem owej ucieczki rodziny świętej, powodem pierwszego kroku po tej drodze boleści, którą wkrótce miała biedna matka z Boskiego przechodzić wyroku!..

Zamilczę o latach burzliwej młodości, na bruku Jeruzolimy z podobnymi do mnie. nieczynnego życia młodzieńcami strwonionych, albo przy warstacie ojca, gdziem się niczego prócz grubszych robot ciesielstwa nie nauczył; i to liche nawet nabycie, już mi na dobre wyjść kiedyś nie miało. Odziedziczyłem nakoniec po śmierci ubogich ale uczciwych rodziców, niezbyt korzystnego rzemiosła spuściznę. Dojrzalsze lata, tudzież potrzeba pomocy w opustoszałem domowem ognisku, i przepisy starego zakonu, zniewoliły mię do wyboru towarzyszki. I dozwolił mi Pan Bóg, chcący może

grzesznika na dobrą nawrócić drogę, wynaleźć taką na jaką nie zasługiwałem; wdzięki jej, łagodność i nieprzerwana niczem słodycz duszy, wywarły wpływ na mój umysł do tyla zbawienny, że się już odtąd stałem pilniejszym do pracy; a lubo doskonałości nie doszedłem szczebla, i wykwintności w robocie już nie nabyłem nigdy, statecznym przecię i pracowitym uznawano mię powszechnie, a jako takiemu z zalecenia starszych, pałacowego cieśli dano mi dożywotni urząd.

Pamiętam dnia jednego, chociaż rzadko kiedy za próg chaty od żony i małego chłopięcia, którym nas Bóg obdarzył, odchodziłem, przywołany do ratusza miejskiego odebrałem rozkaz, abym przyrządził czem rychlej potrójne krzyżowe narzędzie dla zbrodniarzy, skazanych tegoż jeszcze samego poranku na śmierć haniebną, przez sąd kapłańskiej starszyzny. Słyszałem był nieraz wprawdzie wielkie okrzyki o Jezusie z Nazareth, za którym chodziły rzesze i który jak mówiono cuda prawił i czynił, a postem i modlitwą do nich się przysposabiał na pustyni; pamiętałem też śmierć owego tak zwanego przedwiestnika jego Jana, który o przyjściu niejakiegoś zbawcy świata dziwne opowiadał rzeczy; byłem nawet świadkiem, gdy przed piękną Herodijadę przyniesiono z woli okrutnego jej bratanka, głowę natchnionego przepowiadacza; ale wszystkie te wy-

padki acz głośne i zajmujące tłum Jerozolimski, nie zdołały mię zwabiać do siebie jak bywało w dziecinnych i młodzieńczych latach. Zajęty pracą całodzienną, już czterdziesty drugi rok wieku swego liczący, niekiedy tylko przypominałem owe dziecię Betleemskie, i to Imię Jezus, które w ówczas nosiło; a dopiero przybrane przez człowieka u ludu głośnego, ale też razem i srodze od kapłanow i rządzcow naszych ściganego. Wówczas rzemieślnik spokojnie u swego warstatu siedzący i pracą pilnie zajęty, nie tyle wiedziałem o dziejach codziennych i współczesnych jak dziś po upływie ośmnastu wiekow żyd.. błędny, strasznej dla siebie jest już świadom prawdy! —

Skorom otrzymał rozkaz rządcy wygotować niebawnie narzędzia męki haniebnej, poszedłem na miejsce do niej wskazane, a zowiące się górą trupiej głowy, i tam z czeladnikami moimi jąłem obrabiać drzewo gładko i zwinnie tak, iż od rana do wieczora jeden z owych trzech krzyżow największy, sam jeden wykończyłem zupełnie, ku wielkiemu zadziwieniu pomocnikow moich, których było czterech, a którym zaledwo stało dość czasu dwa pozostałe sporządzić krzyże. Spracowany, odszedłem pózno do domu, i nigdy już od tej pamiętnej nocy, sen tak spokojny i posilny jak w ówczas, nie sklejał mych powiek! Nazajutrz

przebudzony zgiełkiem i wrzaskiem wielkim, wstałem, a biorąc synka małego z rąk żony, wyszedłem z nim na ganek, jak zwykle przy mieszkaniach ludu przed chatą moją zbudowany. Tam odświeżony rannem powietrzem i zajęty blaskiem pięknie wschodzącego słońca, długo pieściłem się z małym synkiem na ręku mile igrającym, i niekiedy tylko patrzyłem obojętny na biegnące mimo progow moich tłumy; aż wreszcie wrzawa większa i te słowa głośno wyrzeczone: „Oto prowadzą Jezusa, by go ukrzyżować,“ zwróciły na się uwagę moje.

Na to wspomnienie spuścił Aschwerus blade czoło swoje, lecz po chwili znowu jakby chcąc otrząsnąć pamięć od gorzkich myśli, podnosząc wzrok smętny, zaczął mówić dalej.

(Dokończenie nastąpi)

WODOSPAD NAROWY (1)

(*Wstęp do poematu*)

Jeśli kiedy, wędrowne miłując pochody,
Zdumionem okiem rzucisz na Waragow morze; (2)
Kędy pobrzeżne Czudy z słowiańskiemi rody
Zbraciły się, sojuszem pokoju i zgody,
A sine wały morza w swarnym rozhoworze
Rozprawiają ze skały, w wiecznym z niemi sporze;
Pomnij! — gdy woz twój skrzydła polotne roztoczy,
Żebyś, jako jaskółka, jeziora przezroczy,
Nie musnął jedno z lekka owej pięknej strony,
Dalej swe wędrownicze puszczając zagony.
Niechaj twój pęd wstrzymają groźne Narwy ściany;
Ów zamek co Duńczyka potęgą przyświeca; (3)
Gdzie się długo z Gotami łamały Słowiany;
Gdzie szwankował mąż wielki, a swoim wywrotem
Pouczony, przeważnie z dumnym walczył Gotem. (4)
Niechaj cię wstrzyma Narwy piękna okolica,
I Narowa co oko szałem swym zachwyca.

„Koni! koni!“ Tam pędzi powoz od zachodu.
„Koni!“ gwarnie powtórzą na Narwskiej - przystani
Pojazd pośrod gęstego kurzawy obwodu
Grzmiąc stanął. — Z rozwartemi nozdrzy, zaziajani,
Biedni ziemscy latawce, drżąc, znojem się kurzą.
Wyskakując, podróżny jeszcze woła: „koni!“

Kędy młody wędrówcze? — z jakiego powodu
Polot ptakow prześcigasz, jak porwany burzą?
Czy zawistnego męża uchodzisz pogoni?
Czyli piękność północna modremi oczyma
Tak cię ciągnie jak słomkę Baltyku bursztyny?
Uchodziszli nieszczęsny, miejsc cięźkiej przewiny,
Gdy sumienie nad tobą wryte oko trzyma?
Czy cię piękny Piotrogród wabi swemi czary?
On ciebie olśni blaskiem i zmysły twe zdumi,
Jako ogrod Armidy, jako wschodu mary.
Swoich starszych siostr wdzięki, on jeszcze tak młody,
Pięknością swą zaciera, swą sławą przytłumi.
Tam ujrzysz cuda sztuki, co dziwią narody,
Lecz wstrzymaj się — tu cuda zobaczysz przyrody.
Próżno! — leci wędrowiec, a za nim daleko
Jako ogon komety, tumany się wleką.

„Koni!“ Tam powoz leci od północnej strony;
A wędrowiec zatopion w głębokiej zadumie
Nagłem wozu wstrzymaniem, jak ze snu ockniony
Zrywa się „koni!“ woła. — Cożeś w twym rozumie
Tak wyważał, wędrowcze? — Choćbyś dniem i nocą
Niezmierne morze nauk myślą swoją głębił,
Choćbyś krzepkie ramiona wycieńczył niemocą
I podwodną otchłanią swoję krew wyziębił,
Próżno! .. Mędrce po ziemi tłumem gwiazd migocą,
I ty zaginiesz w tłumie — po co marzyć? po co? —
Może, dumając pędzisz, powabem stolicy
Do syta przepojony, w rodzinne siedliska?
Gdzie dom mały na wzgórzu, kędy strzecha nizka,

Da luby cień olśnionej przepychem źrenicy;
Gdzie stęskniona rodzina na twój powrot czeka,
Gdzie wierna towarzyszka usłyszy zdaleka
Podróżny dzwonek, bieży z dziatek małych gronem
Powitać wędrownika, i czułem ściśnieniem
Osuszyć łzę radości na oku zroszonem:
Dziatki się uczepiają z krzykiem twojej dłoni;
Domownicy radośnie w koło ostąpili. .
Chcesz mówić, pytać, serca oniemi wzruszenie;
Chcesz patrzeć, łza rozkoszy oko twe przesłoni....
O jeśli o niej marzysz, wzdychasz do tej chwili,
Pędź, wędrówcze szczęśliwie! — Lecz w twojej gonitwie
Stań chwilkę, byś cud ujrzał nieznany w twej Litwie.
I tam masz ty obrazy. — Przyroda nieskąpa
Posaży strony nasze niezwykłemi dary;
Białowieży las tajny, siekierą nietknięty,
Jak wnętrza ziemi czarny i jak ziemia stary,
Po którym długo-brody mocarz wolnie stąpa,
Zubr, wszechwładzca spokojny odwiecznej dzierżawy,
Szanowany od ludzi, straszny śród zwierzęty,
Dumny rodem, jak magnat z przodkow swoich sławy.
Tam, ojciec Niemen jasne, wspaniałe swe wody
Jak wąż, Litwy bożyszcze, krętym kłębem toczy;
A zamki na zielonej sterczące uboczy,
Te wiekow kościotrupy, wielkiemi otwory
Patrzą na czyste pola, niegdyś święte bory,
Na nowe na zwaliskach wydźwignione grody,
I na nędzne, skarlałe, dzielnych ludow rody.
Tam się czasem odezwie piosnka Wajdeloty,
O koniku Kiejstuta, o Kiejstuta chwale,

Tam na równym, a okiem nie ścignionym łanie,
Bujnego żyta płowe kołyszą się fale,
Tam przemysł z oświeceniem nie skaził prostoty,
Gościnność stara żyje, gęstsze w domach cnoty.
Tam masz pięknej jesieni pogodne żegnanie;
Piękniejszy wychod słońca pomiędzy swojemi,
I najpiękniejszy... zagon własnej twojej ziemi!...
Lecz czy słyszysz w oddali ten huk? — To Narowa
Odwieczne swoje gniewy wiecznie rozpowiada,
Drżąc słuchają jej lasy, drżąc słucha dąbrowa...
Chodźmy tam. — Lecz wędrowiec nie słucha, nie bada,
I stanął błyskawicą u stop wodospada. —

Ig: Kułakowski.

---

(1) W odległości około 3 wiorst od miasta i pocztowej stacji Narwy (w Gub. S. Peterzburgskiej), znajduje się wodospad, o którym tu mowa. Nic podobnie wspaniałego i groźno-pięknego w północnej naszej krainie widzieć nie można — Jeden tylko jak utrzymują podróżni, wodospad Imatry w Finlandji, stanąć może obok wodospadu Narowy. Iluż to podróżnych codziennie pędząc blizko tego igrzyska przyrodzenia, ani nań okiem nie rzuci! — Iluż to nie wie nawet o jego istnieniu!

(2) Nazwanie Baltyckiego morza w dawnej Słowiańszczyźnie.

(3) Epoka założenia miasta i twierdzy Narwy z pewnością oznaczyć się nieda. Kronikarze Liwońscy kładą r. 1221. Lehrberg prawi że o tem mieście do r. 1280 nic nie słyszano, i że pierwsza historyczna o niem wzmianka, znajduje się w akcie Króla Duńskiego Krzysztofa II. r. 1321. Lecz jeśli pierwszym mamy dać wiarę, Narwa była dwókrotnie przez zakon ustąpiona, jeszcze Woldemarowi II. Może być tedy iż ją wystawili nie Szwedzi lecz Duńczycy.

(4) Bitwa Piotra W. z Karolem XII. (r. 1700) w której Ruscy porażeni na głowę. Po przegranej Piotr W. mówił o Szwedach: „Oni jeszcze długo nad nami górę brać będą, lecz wyuczą nas nakoniec samych siebie zwyciężyć“ — P. A.

SPIS RZECZY

w Zeszycie szóstym zawartych.

LITERATURA.

Koniec.



